

łem rozdrażniony sam na siebie! I tak cierpiałem, że muszę opuścić to miejsce, a on przypomnieniem tego, psuł mi jeszcze ostatnią może chwilę radości...

Czas był jak na ową porę bardzo przyjemny i Ewelina postanowiła po śniadaniu przejść się wraz z dziećmi nad brzegami Marny... Marcadian chciał, bym im towarzyszył, ponieważ jednak drzemałem zawsze po jedzeniu, wolałem więc odpocząć w pracowni na kanapie, jak to czyniłem codziennie, niż iść razem z nimi.

I oto ta sama pracownia rzeźbiarza Barrabasa, w której przed trzema laty rozegrała się pod posagiem *Boleści* krwawa scena między mą ukochaną żoną, Gabryelą, a synem jej Polidorem, stała się obecnie widownią nowego dramatu między obywatelem amerykańskim, Jonatanem Brentano, a wdową po Williamie Duncanie! A dramat ten był tak nagły i niespodziewany, tak niezależny od woli mej, tak sprzeczny z moimi zamiarami i pragnieniami i tak burzący doszczętnie najtajniejsze me marzenia, iż dzisiaj jeszcze odczuwam go tak boleśnie, jakgdyby zdarzył się dopiero wczoraj.

...Leżałem na kanapie z przymkniętymi powiekami i marzyłem o przyszłym szczęściu mej córki, gdy nagle Piotr i Zuzanna, którzy powrócili już ze spaceru, zakradli się po cichu do pracowni.

— Cicho! — szepnęli do siebie, hamując swój wesoły śmiech. — Spil!

Przez przymrużone powieki patrzyłem na ich ciche i bojaźliwe kocie ruchy... Mieli dziecięce dusze, jak ten stary emeryt, Mrngacz... Domyśliłem się też, iż w swych młodych, jasnych główkach, szukają jakiegoś figla, którego mogliby mi spłatać! Nie ruszałem się więc i nie zmieniałem swej pozycji, zachęcając ich do zabawy swym udanym snem, sam się bawiąc ich wesołością... I stałem się teraz tak dziecinny, jak ten Mrugacz, tak dziecinny, jak moi wnukowie.

Pierwsza Zuzanna spostrzegła maskę z długą brodą, pozostawioną przez Mrugacza... Podeszła na palcach do stołu, schwyciła ją i wkładając na twarz Piotrowi, wybuchła powstrzymanym śmiechem... Podniosłem nieco powieki i cieszyłem się ich zabawą... Nagle doznałem dziwnego wrażenia... Maskę ta wyglądała teraz inaczej, niż rano... Swą długą, szeroką brodą przypominała dokładnie twarz rzeźbiarza Barrabasa! Był to mniej więcej ten sam zarost, ten sam sposób jej czesania!... I ta parodia mej prawdziwej dawnej twarzy, na twarzy mego maleńkiego wnuka, była dla mnie jakimś miłym zjawiskiem...

— A żeby jemu przyłożyć? — szepnęła Zuzanna.

I pełni trwogi, powstrzymując oddech, Piotr i Zuzanna, stąpając po cichu, zbliżali się powoli do kanapy... Nie ruszałem się i przymknąłem znowu oczy, podając się chętnie ich radosnym figlom... Zuzanna przejęta swą rolą, postąpiła ku mnie bliżej i drżącą swą rączką włożyła mi niezgrabnie na twarz tę maskę...

Cofali się już, by przekonać się, jak wyglądam, gdy nagle otworzyły się drzwi do pracowni i ukazała się w nich Ewelina...

Zaskoczeni z nienacka, a zarazem i zachwyceni swym figlem, dali znak ręką swej przerażonej matce, by była cicho:

— Psst!

Pragnąc ich ucieszyć, podniosłem się na łokciu i również szepnąłem:

— Psst!

Wtedy Piotr i Zuzanna zachwyceni, że udał im się figiel i przejęci radością, zaczęli skakać dokoła mnie i wołać swymi dziecięcymi głosami:

— Maski!... Maski!...

Gdy w temprzez otwory w masce spostrzegłem przerażeniem, że Ewelina wyciąga ku mnie błagalnie swe ręce... Ujrzałem jej przestraszone oczy, jej drżące wargi... Twarz jej pokrywała śmiertelna bladeść...

Teraz dopiero pojąłem przerażenie, jakie nią owładnęło... Zerwałem natychmiast zdrańską maskę, która pokazała jej twarz rzeźbiarza Barrabasa... i zdawało

mi się, że tym samym ruchem wyrwałem jej z piersi duszę!...

Drgnęła cała, zachwiała się i ze ściśniętego jej gardła dobył się jeden okrzyk:

— Mój ojciec!

Przestraszone tem dzieci rozplakały się i krzycząc głośno, uciekły z pokoju... W tej samej chwili wbiegł Marcadian i służba...

Schwyciłem w swe ramiona postać omdlałej córki, która padła u stóp posagu Boleści w tem samym miejscu, gdzie dawniej zastał zwłoki jej matki, zabitej uderzeniem młotka Polidora...

— Pomóż mi! — rzekłem do Marcadiana...

Zanieśliśmy ją na piętro i złożyliśmy na łóżku, które zajmowała jako młoda panna. Marcadian stał jak oślepiały, poprosiłem więc go:

— Biegnij do Bry po lekarza... i zostaw nas samych!

Ewelina otworzyła oczy... W swej szerokiej dłoni trzymałem jej drobną, rozpaloną rączkę o cieniutkich palcach, na których nie świecił już, tak jak dawniej, mały pierścionek szmaragdowy... Uśmiechnęła się



Naraz przez otwory w masce spostrzegłem z przerażeniem...

smutnie... poruszyła wargami... Czyniła wysiłki, by przemówić... Przyłożyłem ucho do jej ust i usłyszałem zaledwie dosłyszalny, harmonijny szep, który był dla mnie ostatnią jej pieśczęcią... Ewelina zdawała jeszcze wyszeptać:

— Umieram szczęśliwa!...

I cicha, spokojna jej twarz zajaśniała jakimś blaskiem... Wargi jej zadrżały... piękne jej oczy zakryły się powiekami... Wydała z siebie lekkie tchnienie:

Umarła, uśmiechając się radośnie jak w jakimś cudnym marzeniu!...

Lekarz przybył razem z zadyszczanym i spoconym Marcadianem...

Rzekł też zaraz.

— To jasne... Serce... Embolia!

Marcadian, który zdawał się nie rozumieć jeszcze tego ciosu, powtórzył bezmyślnie za lekarzem:

— Tak... embolia... to było do przewidzenia!...

W pokoju zapanowała prawdziwie martwa cisza...

Pojąłem teraz, że tajemnica moja zapadła już na zawsze w przepaść, że przy tem śmiertelnym łożu, zakończyły się już ostatecznie me tragiczne

przygody... Zrozumiałem, że wszystko już skończone...

#### EPILOG.

Tak, wiem dobrze, że dwie siły rządzą światem, jak mówią poeci, Miłość i Śmierć. Wiem również z doświadczenia, że ludzkość, jak to ciągle powtarzają ci sami poeci, karmi się krwią i rozkoszą... Są to jednak tylko słowa!... Jest także Życie, którego dwoma przeciwnymi biegunami jest ta Miłość i Śmierć!... I to życie otwiera się teraz przed Piotrem i Zuzanną...

Czy pamięć mej ukochanej żony, Gabryeli, ma tu jeszcze jakie znaczenie? Zadnego, jak również i pamięć o Polidorze!... A nawet jak i pamięć o Ewelinie!... A zresztą, czy ja, jeszcze żyjący, mogę być brany w rachubę!

Jest tylko Piotr i Zuzanna, którzy tutaj stanowią wszystko, gdyż oni są Przyszłością i Życiem... wszystko inne jest tylko Przeszłością!

Chodzę codziennie nad brzegi Marny i łowią ryby, paląc swą glinianą fajkę... Mrngacz nie opuszcza mnie... Mówi mi nieraz:

— Panie Amerykaninie, z pana jest niezwykle oryginał... Przy pańskich milionach, prowadzić podobne życie, tak marne, tak liche!... Muszę panu którego dnia opowiedzieć prawdziwą historię prawdziwego Barrabasa!... Wie pan, ja go tak znałem, jak pana i nie mnie Marcadian weźmie na kawał!

Marcadian odwiedza mnie także często.

— Master Brentano — rzekł mi — po śmierci mej siostrzenicy Eweliny Duncan, przyjąłem na siebie opiekę nad Piotrem i Zuzanną; gdy jednak na mnie przyjdzie kres... a ja się starzeję bardzo, Jonatanie... ty jeden tylko pozostaniesz, by czuwać nad ich wychowaniem! Masz doświadczenie życiowe i kochasz je tak, jak ja je kocham... jak drugi ojciec! To są koniec końcem prawdziwe twe dzieci... ci wnukowie Nelly Burlington!...

I pozostaję sam po powrocie do miejsca, z którego wyszedłem na swą straszną wędrówkę... pozostaję niepoznany i takim już będę aż do śmierci, która przyjdzie mnie zabrać z mego małego domku w Bry!...

I chociaż paradoksalnem może wydać się to słowo — jestem szczęśliwy, ja Brentano, obecnie król mądrych, szczęściem Piotra i Zuzanny, którzy są przyszłością, podczas gdy Barrabas, król waryatów, zaginał już w przeszłości!...

Nie myślałem, że John Fellow mówi prawdę, gdy rozczulał się:

— Przeczuję, master Brentano, że pan nie powróci do Ameryki!

I rzeczywiście nie wróciłem już do Nowego Jorku.

Adwokat Teck zajął się wraz z moim sekretarzem oceną kolosalnego trustu papierowego... Ja pozostałem tylko głównym akcyonaryuszem Johna Fellowa, który zasłużył sobie na ten majątek... i to już wszystko! Tak, to wszystko, a ja jestem tylko do śmierci „człowiekiem bez twarzy“...

Stoję osamotniony w pośrodku tyłu ruin, a przedemną wznosi się tylko posąg „Boleści...“ symbol Życia, które jest tylko jedną długą boleścią i którego tajemniczo zawarte usta, roztwierają się dopiero po śmierci...

KONIEC.